



Mirosław Derecki
PEJZAŻ Z REFLEKSJAMI:
„SZKODA, ŻE PAN NIE Z FILMU...”

Szukam wzrokiem miejsca, w którym kiedyś mieszkał K. Z tego wzgórza mam przed sobą jak na dłoni cały Józefów. Józefów koło Biłgoraja, „ordynackim” dawniej zwany. Osada leży w dolinie. Wokoło pagórkowaty, przysypany teraz śniegiem, krajobraz Roztocza.

Aż po linię horyzontu lasy, zagajniki, samotne świerki na wzgórzach. Za moimi plecami zwarty masyw Puszczy Solskiej.

Sygnaturka wydzwania południe. W oknie kościelnej wieży kołysze się rytmicznie kawałek spizu.

Na lewo od kościoła - plac Strażacki, potem plac Wyzwolenia, potem długa ulica Kościuszki... Gdzieś przy tej ulicy powinien znajdować się niewielki drewniany dom, w którym, w dwóch pokojach z kuchnią, K. postanowił sobie uwić gniazdo rodzinne. Uciekał od gwaru wojewódzkiej „metropolii”, od borykania się z trudami, jakie niesie artyście życie w wielkim mieście. Ciągnął ze sobą na prowincję żonę i dziecko, wierzył, że tutaj znajdzie warunki do tworzenia, do malowania.

Jego pomysł wydał nam się wówczas równie surrealistyczny jak surrealistyczne były jego obrazy. Nie rozumieliśmy, że ten wyjazd stanowił jakąś prawidłowość...

Młody historyk sztuki, członek grupy plastycznej, która akurat atakowała i podbijała Warszawę, autor interesujących opowiadań literackich, jeden z czołowych przedstawicieli cyganerii lubelskiej, właściciel wiecznie rozwichrzonej brody, wielki orginał.

Wśród najbliższych znajomych krążyły niesamowite niesprawdzone wieści o jego metodach nauczania w szkole w jednej z podlubelskich wsi, w której K. pracował wówczas „dla chleba” jako... katecheta. Osoby „dobrze poinformowane” przysięgały, że na przykład jeżeli uczeń nie potrafił odpowiedzieć, kim był Eliasza, mógł się jeszcze uratować odpowiadając na pytanie uzupełniające - kto to jest Kukier. Jeżeli jednak i tutaj okazał się ignorantem, otrzymywał stopień niedostateczny. „Rozumiem - mawiał K. do dziesięcioletnich chłopców - że negujesz przydatność religii we współczesnym świecie (sam był zresztą niewierzący), ale też młodzieniec w twoim wieku musi mieć jakieś zainteresowania... Dostajesz dwójkę za brak zainteresowań”.

Trzeba przyznać, że wszystkie złośliwe przycinki, odnoszące się do jego ówczesnego, „stanu”, nasz „duchowny” znosił z prawdziwie chrześcijańską pogodą ducha. A jeśli zdecydował się już na replikę, to była ona zawsze cięta, inteligentna, błyskotliwa. Ripostował błyskawicznie. Kiedyś ktoś zażartował: „W związku z twoim nowym zawodem powinieneś znać dobrze historię Starego Testamentu. Czy żona Lota zmieniła się w sól warzonkową czy w krystaliczną?” „W sól Franciszka Józefa” - sparował bez zająknięcia K. I tak dalej, i tak dalej...

Nie, nie rozpoznam już tego domu. Zresztą po co, na co mi to? Pierwszy i ostatni raz odwiedziłem tutaj K. przed dziesięciu laty. Byłem jeden dzień. Oprowadził mnie po osadzie, potem byłem u nich na obiedzie. Wypiliśmy trochę wódki, ale nie za wiele. K. w tym czasie bawił się w statecznego ojca rodziny. Mówił, że są na „dorobku” i nie myślą wyrzucać pieniędzy w błoto. Czyli wydawać na alkohol.

Z dumą pokazywał mi radio, pralkę, nowe meble, skuter. Skutera zazdrościłem mu.

Rozglądałem się po ścianach za nowymi obrazami. Ale nie było właściwie nic poza „fryzem” z kościotrupami pod sufitem pokoju. K. namalował ten fryz zaraz po przyjeździe, przed dwoma laty. Były też, przypięte do ściany szpilkami, dwie dość parszywe akwarele.

Potem poszliśmy, już we dwóch tylko, na rynek czyli plac Wolności, do knajpy pod nazwą „Leśna” i tara K. zrzucił swoją nową skórę i wypiliśmy jak za starych dobrych czasów. Wtedy też K. zaczął trochę puszczać farbę... „Nie, stary - mówił, - wszystko na nic. To nie jest miejsce dla mnie. Niby wszystko okej, rozumiesz, lasy, grzyby, świeże powietrze, spokój, forsa, nie za wiele pracy, ale malować... Nie, bracie, nie tutaj, nie w tym miejscu. Nie wytrzymałbym nerwowo. Już od dawna nie wytrzymuję nerwowo. Za mało jestem odporny psychicznie, wiesz?”

- Niszczą cię w szkole? - zapytałem.

- Nic z tych rzeczy.

- To co?

- Nie zrozumiesz. Żeby zrozumieć, trzeba by tutaj posiedzieć dłużej. Jedno ci powiem, za wcześnie przyjechałem. Może za dziesięć lat, za dwanaście, taki facet jak ja by się zaaklimatyzował. Ale teraz jeszcze nie. Tak, bracie. Nawiewam stąd. Zabieram żonę i dziecko, pralkę i radio, i zwiewamy gdzieś w Polskę. Może na Wybrzeże? Jeszcze nie wiem dokładnie. Ale - fakt. Zdecydowane. Tu się żyje przeszłością i jeszcze raz przeszłością.

Nic mi nie chciał więcej powiedzieć. Rozstaliśmy się trochę chłodno. Wyjechałem pierwszym pociągiem. K. wyjechał w kilka miesięcy później. Przez parę lat nawet nie wiedziałem, co się z nim dzieje.

W miejscu, z którego spoglądałem na Józefów, padł trafiony niemiecką kulą Józef Kudelka. Było to 1 czerwca 1943 roku. Niemcy napadli na osadę. Mieszkańcom, którzy nie

zdołali się ukryć w Puszczy Sowiej, groziła śmierć lub niewola w obozach koncentracyjnych. Biwakujące w pobliżu oddziały partyzanckie pośpieszyły na pomoc. Pierwszy zajął pozycje na wzgórzu zaalarmowany przez Kudełkę radziecki oddział Miszki-Tatara. Potem nadciągnęli inni. Na lewo od Miszki rozlokował się polski oddział „Groma”. Rozgorzała kilkugodzinna bitwa. Ale w jej pierwszej fazie, przy próbie ataku, zginął Miszka-Tatar i zginął Kudełka. Miszce przeszła pierś seria z karabinu maszynowego, umieszczonego na wieży kościelnej, w miejscu, gdzie teraz kołysze się dzwonek obwieszczający południe, Kudełka dostał kulę w żołądek. Strzał oddał Niemiec kryjący się za ogrodzeniem domu rodzinnego Kudełki, znajdującego się w odległości trzystu metrów od biegnącego ku niemu partyzanta.

Z miejsca, w którym stoję widać dokładnie józefowski rynek. I być może właśnie z tego miejsca, 23 lutego 1943 r., spoglądał w dół przez lornetkę dowódca józefowskiego oddziału AK „Wir”, spoglądał na tłum ludzi spędzonych przez Niemców. Widział jak z tego tłumy żołnierze wybierają kolejno jego ojca, matkę i siostrę, jak stawiają ich pod murem, szykując się do egzekucji. Jago podkomendni wołali: „Panie poruczniku, nich pan da komendę, pójdziemy na nich, wystrzelamy!” Ale „Wir” wiedział, jak szczupłe są w tej chwili siły oddziału. Zdawał sobie sprawę, że jakakolwiek akcja z jego strony spowodowałaby masakrę wszystkich osób znajdujących się na rynku. Jego rodzina musiała zginąć, żeby inni przeżyli.

W 1944 roku straszliwszy los spotkał skoncentrowane w Puszczy Solskiej liczne oddziały partyzanckie AL, BCH, AK i oddziały partyzantów radzieckich. Z niemieckiego kotła udało się ujść tylko nielicznym. W nierównej walce zginął kwiat miejscowej i okolicznej młodzieży.

Tutaj jeszcze dzisiaj, po niemal trzydziestu latach od tamtych wydarzeń, omawia się dokładnie, każdy szczegół takiej to a takiej akcji, toczy się zaciekle spory o dokładność opisu poszczególnych bitew, wspomina poległych i zamordowanych przez okupanta. Tutaj nie ma domu, w którym by nie mieszkał były partyzant, nie ma rodziny, która by nie przeżyła jakiejś tragedii. Tutaj ludzie, znają prawie na wrywki książki Markiewicza „Paprocie zakwitły krwią partyzantów” i „Nie dali ziemi skąd ich ród”, tutejsza młodzież jak chyba żadna inna w Polsce zna dzieje okupacji.

Przygodny turysta, czy przejezdny, który trafił do Józefowa, tego wszystkiego nie dostrzeże. Jawi się przed nim niewielkie, schludne miasteczko, którego centrum stanowi wielki skwer, latem pokryty krzakami róż. Dookoła skweru stoją obszerne, wygodne, murowane domki, panuje ruch w licznych sklepach i zakładach usługowych. W kinie „Tęcza” można obejrzeć film panoramiczny, w kawiarni „Roztoczanka” napić się niezłej kawy. Notabene pierwsza to kawiarnia, jaka powstała w powiecie biłgorajskim po wyzwoleniu. Na dachach wielu domów wznoszą się anteny telewizyjne, w domach jest woda bieżąca i centralne ogrzewanie. Tysiąc trzysta mieszkańców osady żyje raczej dostatnio i z myślą o

coraz lepszym jutrze. Ich dzieci chodzą do pięknej, nowoczesnej „tysiąclatki”, młodzież – do liceum ogólnokształcącego. Cztery kilometry stąd, przy stacji kolejowej Długi Kąt, wybudowano zakłady produkcji betonów, wielu mieszkańców Józefowa znalazło w nich pracę, inni zarabiają nieźle w państwowych i prywatnych kamieniołomach.

Tak, teraz pewnie K., nadwrażliwcowi i „bezprizornemu” wielkomiejskiemu inteligentowi i artyście na dodatek - łatwiej by się było zaaklimatyzować w Józefowie dwanaście lat temu. Tak jak łatwiej niż kiedyś aklimatyzują się przybywający tutaj młodzi lekarze, nauczyciele, farmaceuci. Ale i tak przez długi jeszcze czas czułby się obco wśród ludzi, na których psychice okupacja wycisnęła szczególnie silne piętno. A przecież przed dwudziestu laty, gdy tu zjechał, przed dziesięciu - kiedy ja po raz pierwszy odwiedziłem Józefów, cała osada to błotnisty, zaśmiecony rynek, kilka wybrukowanych kocimi łbami uliczek, dużo butwiejących, drewnianych ruder mieszkalnych i dużo, jakże dużo pustych placów po spalonych w czasie okupacji budynkach. O telewizji ani tutaj słyszano, a ze światem łączyła mieszkańców odległa stacja kolejowa w Długim Kącie. Jeszcze dzisiaj tutejsi ludzie nie mogą się mimo wszelkiej zmiany otrząsnąć z przeszłości, jak wtedy, przed dziesięciu laty. „Tak, bracie - mówił wówczas K. nawiewam stąd. Za wcześnie przyjechałem. Tu się żyje przeszłością i jeszcze raz przeszłością”. A potem dodał jeszcze, czego wtedy nie rozumiałem: „Tylko oni sami mogą się z tego wydzwignąć, przełamać w sobie to wszystko co ich gniecie. Przy pomocy z zewnątrz, oczywiście, ale przede wszystkim oni sami”. Może miał w tym wiele racji.

Spoglądam ze wzgórza na Józefów. Wielka Encyklopedia Powszechna PWN zamieszcza o nim jednozdaniową, zresztą nieścisłą informację: „Józefów, wieś w pow. biłgorajskim, woj. lubelskim, na Roztoczu; kamieniołomy wapienne, tartak, synagoga z XVIII/XIX w”. I tyle.

Józefów „był dawniej wsią Majdan zwaną, która ordynat Tomasz Józef Zamoyski, starosta grodziecki, przywilejem z d. 3 grudnia 1725 r. na miasto zmienił i od swego imienia Józefowcem przezwał. Nadał on mu wtedy 4 jarmarki od roku, dozwolił palenia wódki, warzenia piwa i sycenia miodu za pewną opłatą, który to przywilej przez żadnego z monarchów nie był potwierdzony. Ordynatowie zaś późniejsi, swobody przedtem udzielone następnie sami znieśli (...) Była tu drukarnia hebrajska założona w 1824 r., która przed laty bardzo czynna, dużo książek hebrajskich wydawała (...) Pod Józefowem zginął 24 kwietnia 1863 i pochowany Mieczysław Romanowski, zdolny poeta (...) Posiada Józefów kościół parafialny (...) sąd gminny, dom schronienia dla starców i kalek, synagogę, 32 kramy). (Słownik Geograficzny Królestwa Polskiego i innych krajów słowiańskich”, Warszawa 1882)

W zachodniej pierzei dawnego rynku widać mury spalonej synagogi. Jeden z ostatnich śladów wojny. Wkrótce ruinę przykryje dach, a potem robotnicy przystąpią do pełnej

odbudowy budynku. W przyszłości będzie się tutaj mieścił gromadzki dom kultury - sala widowiskowa, biblioteka, czytelnia, świetlica. Swego czasu wiele mówiło się o budowie w Józefowie domu kultury według typowego projektu, ale w ostatecznym efekcie ta inwestycja została skreślona z planu. Wtedy miejscowe władze zwróciły uwagę na gmach starej synagogi. Nawiązano kontakt z Wydziałem Kultury Prezydium WRN w Lublinie i z wojewódzkim konserwatorem zabytków, który był zainteresowany w odbudowie historycznego obiektu, ale nie posiadał dostatecznych funduszy. Na mocy zawartego porozumienia Wydział Kultury dostarczył dokumentację budowlaną i wyasygnował 400 tys. złotych. Kosztorys budowy opiewa na sumę ponad miliona. Różnice pokryje już sama Gromadzka Rada Narodowa w materiałach budowlanych, gotówce i robociźnie. Dom kultury powstanie w znacznej mierze czynem społecznym. Prace budowlane mają się rozpocząć na wiosnę. Kiedy zostaną zakończone, trudno w tej chwili dokładnie określić. Natomiast jedno jest pewne: że osadzie niezbędna jest placówka, która zajęłaby się zorganizowaniem jakiegoś życia kulturalnego w Józefowie. W tej dziedzinie bowiem od lat nic tam się nie dzieje. Nie ma nawet klubu „Ruchu” czy Klubu Rolnika. Nie ma amatorskich zespołów artystycznych. W dawnym „centrum” partyzanckim nie ma nawet izby pamiątek. A tymczasem w okolicy dość materiału, który by wystarczył nie na jedną, ale na kilkanaście ekspozycji.

W innej części rynku-skweru - masywny, piętrowy gmach. Jeden z nielicznych, które nie zostały zniszczone podczas okupacji. Budynek został wzniesiony kilka lat przed wojną czynem społecznym tutejszych mieszkańców. Na parterze – taki jak i obecnie – mieściły się sklepy spółdzielcze, piętro zajmował Dom Ludowy – świetlica, biblioteka, pokoje do gier i zabaw. Dzisiaj mieszczą się tutaj biura józefowskiego „geesu”.

Przed kilku godzinami byłem w tym budynku. Odwiedziłem prezesa. Bronisław Podolak urzęduje w niewielkim gabinecie, przyległym do dużego pomieszczenia dawnej świetlicy. Z okien owej świetlicy przed niespełna trzydziestu laty – dziesięcioletni wówczas chłopiec – obserwował pamiętną egzekucję na józefowskim rynku. Lata okupacji dobrze się wryły w pamięć obecnego głównego księgowego GS. Michała Sytego. Ale nie o latach wojny rozmawiałem z nimi. Podolak i Syty rozkładali przede mną zawartość grubych teczek, zawierających dokumentację nowoczesnej restauracji i kawiarni, Wiejskiego Domu Handlowego. O pieniądze potrzebne na budowę domu handlowego wciąż jeszcze toczą się rozmowy z władzami nadrzędnymi, ale restauracja i kawiarnia są już na ukończeniu. Koszt budynku wraz z wyposażeniem wynosi ponad 4 miliony złotych, ale będzie to najobszerniejszy i najelegantszy zakład gastronomiczny w powiecie. Mieszcząca się na piętrze kawiarnia o stu miejscach, wychodząca ogromną szklaną ścianą na najpiękniejszą część józefowskiej okolicy - na kamieniołom- i skraj Puszczy Solskiej, będzie spełniała do czasu rolę zastępczą domu kultury. Rzecz w tym jednak, aby już teraz władze gromadzkie

pomyślały o nakreśleniu wspólnie z zarządem „geesu” planu działalności kulturalnej, żeby pomyślano o etacie dla człowieka, który ów plan będzie wcielał w życie. Czy nie warto by było pomyśleć o próbie takiego mariażu kultury i gastronomii w szerszym wymiarze, nie tylko w przypadku Józefowa? Wszędzie tam, gdzie brak funduszy na budowę ośrodków kulturalnych, a równocześnie, w znajdujących się pod bokiem kawiarniach, pije się wino i co najwyżej - gra w szachy? Czy nie warto przy kawiarniach, istniejących w małych miasteczkach i osadach, organizować prelekcji i spotkań z ciekawymi ludźmi, występów artystycznych, zakładać klubów dyskusyjnych? Nie rozwiąże to oczywiście, w sposób pełny sytuacji, ale przynajmniej w pewnej mierze wypełni istniejące luki w życiu kulturalnym danej miejscowości...

Józefów leży przede mną jak na dłoni, z jego nowo kształtującym się obliczem architektonicznym, z jego historią i z jego problemami. Połą drogą, do domu Kudełków, wspina się pod górę samotny mężczyzna. Niesie ciężki młot i kliny stalowe do łupania bloków piaskowca w kamieniołomie, który głęboką szczeliną wcina się między Józefów a Puszcą Solską. Zrównał się ze mną, przystaje, zapaliliśmy.

- Przyglądam się panu dawno z mojego podwórka - mówi. - Stoi pan i patrzy na Józefów. Pan może fotograf, albo z filmu?

- Nie - kręcę głową - nic z tych rzeczy. Wspominałem starego kolegę i usiłowałem znaleźć dom, w którym kiedyś mieszkał. Ale nie znalazłem.

- Szkoda, że pan nie z filmu - mówi mężczyzna. - Tutaj by się znalazło sporo tematów do filmu.

Pierwodruk: „Kamena”, 1971, nr 4, s. 1,4-5.